

Feliks Konarski
"Ref-Ren"

Katyń

(...)
I tylko pamięć została
Po tej katyńskiej nocy.
Pamięć nie dała się zgładzić
I nie uległa przemocy -

I woła o sprawiedliwość,
I prawdę po świecie niesie,
Prawdę o czterech tysiącach
Zgładzonych w katyńskim lesie!

A z prawdy słuszność się rodzi
I wzniesie się dłoń sędziowska -
I kata dosięgnie kara!
Jeśli nie ludzka - to Boska!!!

Kazimierz Simon

Bielsko-Biała

Z mojego pamiętnika - wspomnienia z lat 1940 - 1945 Cz. IV

Po zwolnieniu mnie z więzienia, chorego i wyczerpanego nerwowo, pierwszej pomocy i dalszego leczenia udzielili mi lekarze lwowscy:

- prof. Dr med. Stanisław Kossowski - laryngolog. W okresie okupacji niemieckiej był asystentem Kliniki Laryngologicznej. Z uwagi na niemiecki personel kliniki, skierował mnie na dalsze leczenie do polikliniki przy Brajerowskiej. Po wojnie osiedlił się we Wrocławiu i pracował w tamtejszej Akademii Medycznej. Polak i patriota;
- dr med. Adam Tyczyński - laryngolog. Zatrudniony był w poliklinice przy Brajerowskiej. Żołnierz września 1939 i AK. Po wojnie mieszkał w Bielsku-Białej, gdzie zmarł w 1991 roku;
- dr med. Henryk Mosing - podczas okupacji pracował w b. Instytucie prof. Rudolfa Weigla. Był zastępcą dyrektora zakładu. Polak i wielki patriota. Pozostawałem pod jego stałą opieką lekarską. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że był także księdzem;
- prof. dr med. Jaburek - neurolog. Podczas obu okupacji pracował w klinice. Byłem leczony przez profesora do 1944 roku. Polak i patriota. Po wojnie pracował w klinice wrocławskiej;
- dr med. Barwiński - internista, Ukraińiec. Pracował w szpitalu lwowskim do 1944 roku. Leczył mnie, i solidnie zajął się moim zdrowiem, zwłaszcza chorobą serca. Był uczynny dla Polaków. Nie znam jego dalszych losów.

Gdy przebywałem jeszcze w więzieniu, por. "Mir" i st. sierż. "Florek" poczynili starania, (przy wydatnej pomocy pracującego w Ernährungsamt nauczyciela Madeji oraz znajomego i uczynnego Ukraińca ze Stadthauptamt im Lemberg (nazwiska nie pamiętam) - w uzyskaniu zezwolenia na prowadzenie punktu rozdziału żywności na kartki dla miejscowej ludności - na moje nazwisko. Punkt ten mieścił się przy ul. Kołtątaja 12 (Kargergasse), w odległości około 100 m od komendy policji niemieckiej przy pl. Smolki. "Mir" i "Florek" planowali bowiem, że w przypadku zwolnienia mnie z więzienia będzie to miejsce mojej pracy zarobkowej (zabezpieczające przed wywiezieniem do Rzeszy) a równocześnie punkt

kontaktowy AK.

Zezwolenia takie wydawano we Lwowie Polakom i Ukraińcom w różnych dzielnicach miasta. Na moim dokumencie figurował nr H. 108 i data 22 maja 1943 r. Posiadając Ausweis oraz Bezugschein na pobieranie towarów w kilku niemieckich magazynach, miałem znacznie więcej swobody poruszania się moim jednokonnym "sztrajferkiem". Punkt rozdziału żywności prowadziły nasze żony, (moja i "Florka"), a moje czynności ograniczały się do załatwiania formalności związanych z pobieraniem towaru i rozliczaniem się z tego każdego miesiąca. Miałem więc spore możliwości do działania jako dowódca konspiracyjnej placówki łączności.

W sklepie przy Kołłątaja pracowało pięć osób - oprócz naszych żon jeszcze trzy kobiety z Wołynia, którym udało się uciec spod noży UPA. Ich mężowie pracowali fizycznie na terenie miasta. Zostały do nas skierowane przez Radę Główną Opiekuńczą (RGO). Duży ruch przy realizowaniu kartek żywnościowych sprzyjał przesuwaniu się niezauważonych gońców AK.

Mimo złego stanu zdrowia powróciłem do oddziału. "Florek", który mnie zastępował, otrzymał zadania na terenie Ernährungsamt'u. Na co dzień pozostawałem w kontakcie z plut. pchor. "Edi" - Edwardem Fedorowiczem¹, który był równocześnie łącznikiem "mojej" placówki łączności. "Edi" pracował w PAST (Duetsche Post Osten) i dzięki temu miał możliwość zaopatrywania placówek łączności AK w różnego rodzaju sprzęt: bębny, kable, aparaty telefoniczne, akumulatory i różne części zapasowe, a niekiedy też części radiowe. Odbierałem je i przekazywałem "Mirowi" lub "Florkowi". Czasem "Edi" dostarczał je sam na wskazane miejsce. Przedmioty te zdeponowane były częściowo w oficynach pasażu Mikolascha, częściowo w punkcie kontaktowym przy Kołłątaja 12. Większy sprzęt przechowywano w jednej z piwnic straganiarskich na pl. Hallickim. Przerzucany był później na teren woj. Lubelskiego. Zajmował się tym "Mir".

Ja otrzymałem nowe zadanie. Przebywającym na terenie miasta żołnierzom AK, kurierom, ukrywającym się zbiegom z obozów, (w tym także żołnierzom sowieckim) groziło niebezpieczeństwo i dalsze ukrywanie się we Lwowie było niepożądane. Należało wyprowadzić ich bezpiecznie w kierunku lasów Janowskich lub Żółkwi, i w oznaczonym miejscu przekazać łącznikom. Stamtąd odprowadzani byli do oddziałów partyzanckich lub zgodnie z otrzymanym rozkazem. W grupie tej byli oprócz żołnierzy AK także żołnierze BCh i AL oraz inni patrioci, o czym każdorazowo informował mnie "Mir".

¹ "Edi" był dcą 3 plutonu, I kompanii IV Rejonu AK Dzielnic-Lwów Zachód. (Przyp. Autora).

Sprawa nie była łatwa do zrealizowania. Wymagała przeprowadzenia szczegółowego rozeznania i opracowania, a najważniejsze były środki transportu, pewne i bezpieczne, tym bardziej że akcja musiała być długofalowa. Przeprowadziliśmy z "Mirem" i "Florkiem" kilka rozmów na ten temat. Siedziba pierwszego mieściła się w oficynach Pasażu Mikolascha (była często zmieniana), a siedziba "Florka" przy ul. Hauke-Bosaka 10 (lub 1), jak też w biurze przy ul. Piekarskiej.

Z wikarym parafii św. Anny - ks. Stanisławem Prasolem - byliśmy w dobrych stosunkach. "Florek" od czasu do czasu organizował pomoc dla tej parafii w postaci kartek żywnościowych i drzewa opałowego wprost z lasu. Punktem zbornym dla przerzucanych ludzi był więc kościół św. Anny i apteka przy ul. Żółkiewskiej 4, kierowana przez mgra Jana Wajsa.

W sprawie przewozu "spalonych" ludzi prowadziłem rozmowy z Marianem Wolakiem, Polakiem zatrudnionym w charakterze brygadzysty w warsztatach remontowo-samochodowych, których oficjalna nazwa brzmiała: W. Betrieb 9 des H. K. P. 547 Lemberg, Stauffenstr. 31 (na ul. Na Bajki 31). Marian Wolak był w okresie międzywojennym przemysłowcem, a w sportowym środowisku Lwowa znany był jako motocyklista. Na moją propozycję współpracy oświadczył iż musi się zastanowić, ponieważ sprawa jest ryzykowna i niebezpieczna, a warsztaty znajdują się pod ścisłym nadzorem Wehrmachtu.

Gdy sprawa stała się pilna, powróciłem w rozmowie z Wolakiem do tego tematu. W warsztatach Na Bajki istniały bowiem realne warunki dla akcji tego rodzaju, tym bardziej, że pracowali w nich przeważnie Polacy. Wolak wyraził w końcu zgodę na przejazdy samochodem do Janowa w ramach tzw. próbnej jazdy po remoncie. (Tego rodzaju zabiegi stosowane były w warsztatach remontowych jako sprawdzian użyteczności pojazdu). W rachubę wchodziły wyłącznie samochody ciężarowe. Jazdy do Żółkwi Wolak stanowczo odmówił, ponieważ w tamtej okolicy grasowali banderowcy, a kierownictwo warsztatów - nie planując jazd próbnych na tej trasie - nie wystawiłoby nam przepustki. Wolak zastrzegł również, że nie zawsze będzie można wyjechać w ustalonym przez nas terminie.

Odległość do okolic Janowa była niewielka i jazda próbna nie trwała dłużej niż godzinę. Nieco dłużej tylko wtedy kiedy samochód zatrzymywany był przez kontrole.

Akcja przerzutowa prowadzona była pod kryptonimem "DOROŻKA 31". Punktem kontaktowym w lesie Janowskim była miejscowość Stawy-Stracz (lub podobnie). Rozpoczęta w maju 1943 r. - trwała do maja - czerwca 1944 r. Napotykalismy w niej na niejedną przeszkodę, mieliśmy sporo kłopotów, zakłóceń i opóźnień, czego niestety nie dało się uniknąć. Działalność ta była bardzo wyczerpująca nerwowo, ponieważ stale towarzyszyło nam napięcie i strach. Jego skutki odbijały się na naszym zdrowiu, ale w tamtym czasie nikt z nas o tym nie myślał.

Adresy osób wyznaczonych do przewiezienia podawano mi dopiero na godzinę przed zaplanowanym wyjazdem. Gdy coś uniemożliwiło łącznikowi doprowadzenie danej osoby do punktu zbornego o oznaczonej porze, musiałem - o ile pozwalała na to sytuacja w mieście - podjechać ostrożnie w kierunku "meliny" i zabrać przebywającą tam osobę.

Jedna ze znanych mi "melin" znajdowała się na Bogdanówce w domu starszego małżeństwa - Katarzyny i Andrzeja Piterów (on był stolarzem), druga na Lewandówce za wiaduktem, w domu Jana Rogowskiego vel Janowskiego (ewent. Jaworskiego lub podobnie) - pocztowca. Była jeszcze melina na stacji pomp Korpusu Kadetów na Wulce. Pracował tam żołnierz AK Tadeusz Kordyban ps. "Pawełek". Wykorzystywano ją rzadko, ponieważ stacja była pod nadzorem Wehrmachtu. "Pawełek" zamelinował tam na jedną noc osobę, którą odebrał spod bramy klasztoru SS. Karmelitanek Bosych przy Potockiego i doprowadził do meliny na ul. Issakiewicza. Tę samą drogę wykonał rano, odprowadzając swego gościa do bramy klasztoru, skąd odebrali go "Florek" i jego żona ps. "Mamuś", doprowadzając do punktu zgodnie ze wskazówkami "Mira". Piszę o tym żeby wyjaśnić jak skomplikowane to były sprawy.

Jeśli przed zaplanowanym wyjazdem zachodziły nieprzewidziane przeszkody, np. wzmocnione kontrole na drogach czy obława w mieście, sam musiałem decydować o dalszych krokach. Przeważnie nie ryzykowaliśmy i nie wyjeżdżaliśmy wcale, a łącznicy w lesie Janowskim wiedzieli co mają czynić gdy termin przyjazdu nie został dotrzymany.

Punkty zborne przy kościele św. Anny (róg św. Anny - Gródecka - Janowska) i przy aptece (Żółkiewska 4) były dla akcji "Dorożka 31" niebezpieczne, ponieważ Janowska była ulicą przelotową, bardzo ruchliwą, zlokalizowany był na niej obóz koncentracyjny i wojska Wehrmachtu. Działało również gestapo. Kierunek północny - na Żółkiew. Kulików i Rawę Ruską - był również mocno kontrolowany. Droga na Janów dawała jednak możliwość zrealizowania naszego zadania.

c. d. n.

Piotr Baj
Warszawa

Mogiły polskie z 1920 roku w Założcach Starych

W piękny słoneczny dzień 11 listopada 1936 roku zebraliśmy się w Założcach Starych na cmentarzu, który liczył już 600 lat.

Przybyli burmistrz i rajcowie miejscy, kierownik szkoły i nauczyciele, duchowieństwo i miejscowy chór.

Ze Złoczowa przyjechała kompania honorowa i orkiestra Wojska Polskiego. Przybyli założeci Strzelcy, harcerze i zuchy, wśród których i ja byłem (i dzięki temu wszystko z bliska widziałem, słyszałem i wiele zapamiętałem).

Pierwszy przemawiał dr Stanisław Spittal. Przypomniat zebrany, iż leży tu pięciu obrońców Polski, którzy polegli w 1920 roku wyzwalając tę ziemię od bolszewickich hord. Walczyli pod dowództwem Henryka Dobrzańskiego, późniejszego sławnego majora "Hubala".

Na każdym z pięciu grobów stał krzyż wykuty z białokrynickiego kamienia, o kształcie Krzyża *Virtuti Militari*. Pośród nich stał duży obelisk z orłem i stosownym napisem. Na czterech nagrobnych krzyżach znajdowały się imiona i nazwiska poległych, oraz data urodzenia i zgonu. Tylko piąty krzyż naznaczony był literami N. N. (nieznany) i spięty był stalową klamrą.

O tej mogile dr Spittal mówił najwięcej. Miała swoją historię. Kamieniarz trzykrotnie krzyż ten wykuwał, a po zakończeniu pracy krzyż pękał, zawsze w tym samym miejscu. Komitet organizacyjny zdecydował w końcu, by kamieniarz spiął kamień stalową klamrą, i tak pozostawił na pamiątkę. Czekala gdzieś może Matka na powrót syna - Żołnierza, i serce jej pękało - jak ten krzyż - z żalu, bo nie wiedziała, że syn leży tu jako "Żołnierz Nieznany".

Potem przemawiało jeszcze kilka osób. Po odsłonięciu obelisku i poświęceniu krzyży przez ks. Kazimierza Gajewskiego, kompania honorowa WP i organizacje oddały honory.

Do wybuchu wojny w 1939 roku mogiłami tymi opiekowali się miejscowi strzelcy, harcerze i drużyna zuchów. Jesienią 1939 założeci komsomolcy przewrócili obelisk z orłem, a krzyże poobijali. I tak pozostało do dziś.

W 1975 roku byłem na tym cmentarzu i zrobiłem fotografię zwanego obelisku i zniszczonych krzyży, ale nie mogłem ich postawić. Wszystko jest tam teraz zaniedbane, zarosnięte trawą i samosiejką.

Może Pan Minister Andrzej Przewoźnik zechce się tym zainteresować i zleci odnowienie nagrobnych krzyży i obelisku? Niech stoją - jak

niegdyś - w hołdzie - dla poległych a na pamiątkę - dla potomnych.

*Wiktor Chmieluk
Głogów*

Więcej o tragedii SKORODYNIEC - wsi w pow. czortkowskim, woj. tarnopolskiego

*Zebrał i spisał dla pamięci
potomnych -
Autor*

W dniu 11 lipca 1999 r. w kościele pw. Miłosierdzia Bożego w Głogowie odbyła się skromna uroczystość religijna związana z poświęceniem Tablicy Pamiątkowej dla mieszkańców wsi Skorodyńce, pomordowanych w latach 1939 - 1945 przez nacjonalistów ukraińskich spod znaku OUN-UPA.

Na tablicy umieszczone zostały figurki: Głowa Chrystusa i fragment krucyfiksu, przywiezione z kościoła pw. Zesłania Ducha Świętego w Skorodyńcach oraz nazwiska 42 ofiar rzezi Polaków.

Poświęcenia tablicy dokonał ks. kanonik Janusz Idzik a udział w uroczystości wzięli żyjący mieszkańcy tej wsi - naoczni świadkowie zbrodni, członkowie rodzin (dzieci, wnuki i prawnuki) oraz liczni miejscowi parafianie.

Inicjator tablicy - Wiktor Chmieluk - przedstawił krótką historię wsi i tragiczne wydarzenia z lat 1939 - 1945. Wygłoszono też okolicznościowe wiersze, śpiewano pieśni religijne i patriotyczne.

Podczas mszy św. modlono się za pomordowanych, z których wielu nie doczekało się do dziś chrześcijańskiego pochówku na cmentarzu. Za ofiary nienawiści nacjonalistów ukraińskich odprawiana będzie odąd każdego roku, w drugą niedzielę lipca, msza św.

Tablica zamontowana została w krypcie kościoła².

Ś. P.

² Nadesłanej fotografii tablicy nie możemy zamieścić ze względów technicznych. Oddajemy jej wierny zapis po korekcie imienia zamordowanej nauczycielki. (Przypis red.).

POMORDOWANYM RODAKOM

*Mieszkańcom wsi SKORODYŃCE pow. Czortków
na Kresach II Rzeczypospolitej Polskiej
przez bandy ukraińskich nacjonalistów w latach 1939 - 1945*

<i>Bandura Zofia, c. Franciszka</i>	<i>Domek Karol</i>
<i>Bandura Zofia, c. Kaspra</i>	<i>Grabowiecki Franciszek</i>
<i>Bandura Franciszek, s. Bartłomieja</i>	<i>Grabowiecki Maciej</i>
<i>Bandura Paulina</i>	<i>Kurasiewicz Karol</i>
<i>Bandura Franciszka</i>	<i>Kurasiewicz Jan</i>
<i>Bandura Józef</i>	<i>Kurasiewicz Tomasz</i>
<i>Bandura Maria</i>	<i>Kurasiewicz Kazimierz</i>
<i>Bandura Jan</i>	<i>Kurasiewicz Franciszka</i>
<i>Bandura Szczepan</i>	<i>Kurasiewicz Stefania</i>
<i>Bandura Franciszek, s. Dominika</i>	<i>Małańczuk Michalina</i>
<i>Chmieluk Anna</i>	<i>Rachański Antoni</i>
<i>Chmieluk Tomasz</i>	<i>Małańczuk...</i>
<i>Solecki Wincenty</i>	<i>Szpytko Kazimierz</i>
<i>Solecki Franciszek</i>	<i>Szatkowska Anna</i>
<i>Solecki Piotr</i>	<i>Szatkowski Eugeniusz</i>
<i>Sitko Stefan</i>	<i>Suchorolska Maria</i>
<i>Sitko Antoni</i>	<i>Suchorolski Ludwik</i>
<i>Sitko Franciszek</i>	<i>Suchorolski Jan</i>
<i>Sołtys Tomasz</i>	<i>Suchorolski Kacper</i>
<i>Sołtys Bazyli</i>	<i>Wałkówna Maria</i>
<i>Stachowicz Kazimierz</i>	<i>Wielgusz Stanisław</i>

ZGINĘLI ŚMIERCIĄ TRAGICZNĄ DLATEGO, ŻE BYLI POLAKAMI

*“Jeśli zapomnę o nich, Ty Boże
na niebie zapomnij o mnie”.*
A. Mickiewicz

Msza św. w 2-gą niedzielę lipca każdego roku.

POKÓJ ICH DUSZOM.

SKORODYŃCE są malowniczo położoną wsią na płaskowyżu po-

dolskim nad rzeką Seret, jedną z większych rzek Podola, która płynęła tu dolinami i przełomami wśród skalistych brzegów i lasów liściastych. Ta rzeka służyła również ukraińskim nacjonalistom do topienia i spławiania ofiar rzezi w latach II wojny światowej.

Żyzne ziemie Podola były gęsto zasiedlone przez ludność polską, ukraińską i żydowską. Ludność ukraińską zwano tu powszechnie Rusinami. Trudno mi określić, ile wśród tej ludności było "rdzennych" Ukraińców, a ilu Rusinów. Sądzić można bez większego błędu, że przeważali ci drudzy, Rusini.

Wsie były mocno przeludnione, a małe skrawki ziemi dzielone były na coraz mniejsze, z których musiały się wyżywić i utrzymać całe rodziny. Dotyczyło to zarówno ludności polskiej jak i ukraińskiej. Różnic nie było. Bogatsi i biedniejsi byli po jednej i po drugiej stronie. Wszyscy mieszkańcy mieli jednak równe prawa zagwarantowane Konstytucją.

Wsie były przeludnione, gdyż brakowało na tej ziemi przemysłu, i mieszkańcy wsi nie mogli liczyć na zatrudnienie poza rolnictwem. Był to skutek rabunkowej zaborczej gospodarki Austro-Węgier, pod panowaniem których tereny te znajdowały się prawie 150 lat.

Taki stan rzeczy zastało odradzające się Państwo Polskie w 1918 roku. Nie będę tu omawiał wolnościowych ruchów Ukraińców dążących do zbudowania odrębnego państwa ukraińskiego na tej ziemi, które - jak wiadomo - nie powiodły się.

Wieś Skorodyńce liczyła w 1931 roku 302 numery (1420 mieszkańców). Ukraińców było około 55%, reszta to ludność polska i kilka rodzin żydowskich³. Do 1939 roku mieszkańcy wsi żyli zgodnie, po sąsiedzku, szanowali się wzajemnie, a nawet żenili; było wiele małżeństw mieszanych. Z okazji świąt zapraszali się wzajemnie na Wigilię, pasterkę, odpusty. Szły procesje z udziałem polskiej orkiestry dętej z kościoła do cerkwi i odwrotnie. Trzeba jednak zaznaczyć, że życie kulturalne i religijne kultywowane było oddzielnie. Polacy (wyznania rzym.-kat.) skupiali się wokół kościoła i Domu Ludowego, Ukraińcy (wyznania greko.-kat.) wokół cerkwi i swojej świetlicy. Szkoła była polska (ale uczono w niej obowiązkowo j. ruskiego (ukraińskiego)). W czasie okupacji sowieckiej uczono po rosyjsku, a okupacji niemieckiej - po ukraińsku.

W okresie międzywojennym nauczycielami w Skorodyńcach byli: Stanisław Kotowicz, Genowefa Kotowiczowa, August Pituła, Maria Wałkówna⁴, N. Lewowicki.

Polaków cechował patriotyzm, szczególnie gorący na Kresach, gdzie na każdym kroku zaznaczały się różnice i podziały religijne oraz kulturalne.

³ Dane GUS z 1931 roku.

⁴ Śp. Maria Wałkówna uczyła w Skorodyńcach raczej dopiero od jesieni 1939 r. Przedtem pracowała w Wasylkowcach, pow. Kopyczyńce. (Przyp. red.).

Wojna w 1939 r. to ogólna mobilizacja, a potem zawód i klęska. Wszystko zaczęło się walić. Ukraińscy nacjonaści przez cały czas czynili przygotowania militarne. Wykorzystywali każdą sposobność do zdobycia broni, szkolili się potajemnie i tak potrafili uśpić czujność Polaków, że przygotowali przejście podziemne ze wsi do lasu. Napadali i rozbrajali oddziały Wojska Polskiego i pojedynczych żołnierzy. Jedno z takich zdarzeń miało miejsce na moście w Skorodyńcach, gdzie Ukraińcy urządzili zasadzkę i rozbroili kilkunastoosobową grupę żołnierzy Wojska Polskiego z oficerem na czele.

PIERWSZEGO mordy nacjonaści ukraińscy dokonali w naszej wsi na polskiej nauczycielce Marii WAŁKÓWNEJ 13 kwietnia 1941 r. Mieszkała w prywatnym domu Ukraińca - Andrija Sawickiego - tuż obok szkoły. Zdarzenie to przedstawia naoczny świadek LUDWIK CHMIELUK:

W tę wiosenną noc (około północy) wracałem od Stefana Sitki, gdzie wspólnie słuchaliśmy radia. Usłyszałem krzyk w okolicy szkoły, czyli z kierunku w którym zmierzałem, gdyż znajdowała się na trasie mojej drogi do domu. W pewnej chwili natknąłem się na osobnika, który biegł z tamtej strony. Postanowiłem zatrzymać go i dowiedzieć co się stało? Kiedy zobaczyłem, że ten człowiek ma nakrytą głowę chustą i nie odpowiada na pytania, zdarłem mu chustę z twarzy i rozpoznałem młodego Ukraińca z naszej wsi - zwał się Antin Szewciw. Kiedy doszedłem do szkoły, zobaczyłem stojącego na ulicy Andrija Sawickiego, u którego mieszkała wspomniana nauczycielka. W jej izbie świeciła się lampa, a drzwi były szeroko otwarte. Przerażony Sawicki poinformował mnie, że nauczycielka została zamordowana. Nie mogłem dać temu wiary, wszedłem więc do budynku i zobaczyłem wstrząsający widok. Wałkówna leżała na łóżku z odchyloną do tyłu głową, z podrżniętym gardłem. Skojarzyłem sobie ten fakt ze spotkanym biegnącym młodzieńcem. Jak można się było później domyślać, działał on z Mykołą Hapijem, ponieważ od tego czasu obaj zaczęli się ukrywać.

W niedługi czas po tym zabity został skrytobójczo Franciszek Solecki, kiedy wraz z innymi mężczyznami wracał z pracy przy budowie sowieckiego lotniska, gdzie wielu ludzi z naszej wsi musiało pracować przymusowo.

Najazd Niemców na ZSRR bardzo ożywił działania nacjonalistów w naszej wsi pomimo, że front znajdował się jeszcze daleko na zachodzie. Około 27 czerwca 1941 r., w wyniku wycofania się Sowietów z naszego terenu, powstało "bezkrólewie" - okres kiedy żadna władza administracyjna nie działała. Wykorzystali to sprytnie nacjonaści ukraińscy, zaczęli jawnie nosić broń i niespodziewanie pochwycili kilkunastu mężczyzn narodowości polskiej. Byli to przeważnie działacze pełniący różne funkcje społeczne w naszej wiosce. Doprowadzono ich do miejscowego sądu (czytaj: samosądu), składającego się z tutejszych Ukraińców, prostych

ludzi z niepełnym podstawowym wykształceniem. W jego skład wchodził m. in. Mychajło Małańczuk, Pawło Olijnyk i Mychajło Romaniuk. Zarzut w odniesieniu do "oskarżonych" był jeden: przeciwnik ukraińskiej władzy, a wyrok w stosunku do wszystkich ten sam - kara śmierci!

Doprowadzeni przed "sąd" mężczyźni byli to: Ludwik i Tomasz Chmieluk, Jan, Karol i Kazimierz Kurasiewicz, Franciszek i Stefan Sitko, Franciszek Grabowiecki, Konstanty Piotrów, Jan Opacki, Wincenty Sołdecki, Stanisław Bandura, Kazimierz Stachowicz, Jan Rachański i inni. Wszystkich bito i znęcano się nad nimi w bestialski sposób, a że - jak wspomniałem - było u nas wiele małżeństw mieszanych - zdarzały się przy tym tragiczne spotkania. W czasie "sądu" Stefan Sitko powiedział do Mychajła Małańczuka: *Szwagrze, co ja tobie zawinił, że mnie skazałeś na śmierć?* Na co ten odpowiedział: *Ty już mnie nie rodzina, ty szkodzisz naszemu państwu.*

Jeszcze tego samego dnia przed wieczorem poprowadzono wszystkich aresztowanych pod eskortą uzbrojonych strażników na miejsce egzekucji - do lasu. Tuż przed lasem kazano im kopać dla siebie groby, co musieli niezwłocznie czynić. W czasie tych przygotowań przybył na galopującym koniu zwierzchnik tej bandy, i po krótkiej naradzie zdecydowano się więźniów zwolnić. Jak się później okazało, z Czortkowa przybyli przywódcy i oznajmili, że sowieci jeszcze nie opuścili całkowicie miasta, mogą powrócić, bo nie wiadomo jak potoczą się losy wojny. Wszyscy oni byli miejscowymi ludźmi i działali zupełnie jawnie.

Tym razem skończyło się na "pouczeniu" Polaków z tym, że gdy sytuacja polityczna wyklaruje się, to "sędziowie" swego dokonają. Po przyjeździe Niemców część tych Polaków nacjonaliści ukraińscy wymordowali pojedynczo i podstępnie.

Pamiętam szaleństwo ludności ukraińskiej Skorodynec owego dnia na trasie, którą prowadzono skazanych. Na ulice wyległo mnóstwo ludzi, wznosili okrzyki "Sława Ukrajini!" i wręczali eskortie kwiaty.

W niedzielę 5 lipca 1941 r. przyjechała rano do Skorodynec zmechanizowana ciężka artyleria i wojsko niemieckie na samochodach, motocyklach i rowerach. Przez cały dzień ludność ukraińska szalała, witała ich jak sprzymierzeńców, radowała się. Niemcy zaś pozwalali im patrzeć przez swoje lornety. Do Polaków dotarła wiadomość, że wśród żołnierzy Wehrmachtu znajduje się Ślązak mówiący po polsku. Rozmawiali z nim Ukraińcy informując, że mają z Polakami porachunki. Ślązak powiedział im, że to ich sprawa i mogą robić co chcą, ponieważ administracji niemieckiej jeszcze nie ma.

Jak się później okazało, była to woda na ukraiński młyn. Wypadki potoczyły się już szybko i bardzo dramatycznie. Z niedzieli na poniedziałek wymordowani zostali w naszej wsi Żydzi, w sumie 6 rodzin; m. in. dwie rodziny Grünbergów, Reis, Berko Rimberg, Liniął, Szmiła - razem

20 osób. Jakimś cudem nie zauważyli Żydówki imieniem Ryfka, która modliła się do Matki Boskiej o ocalenie i złożyła obietnicę - jeśli przeżyje, to przyjmie chrzest. Potem poszła do księdza greko.-kat. i poprosiła o chrzest. Powiedział jej, że musi wpieryw nauczyć się katechizmu. Nie zdążyła, bo wkrótce ją zabili.

Kiedy władza okupacyjna ustabilizowała się, Ukraińcy podjęli kolaborację z Niemcami i zaczęli obsadzać swoimi ludźmi lokalne urzędy. Policja ukraińska, będąca na usługach Niemców, najgorliwiej od Polaków egzekwowała kontyngenty produktów rolnych. Było wiele przypadków ciężkich pobić, aresztowań, wywózek na przymusowe roboty do Rzeszy, a w wyniku perfidnych prowokacji i fałszywych donosów, wielu Polaków zostało rozstrzelanych za przyzwoleniem Niemców. Tak zginęli ze Skorodynec, rozstrzelani w Czarnym, Lesie: Kazimierz Spytko, Kazimierz Stachanowicz, Antoni Rachański, Bazyl Sołtys i Tomasz Sołtys - fałszywie oskarżeni o komunizm. Innym udało się uniknąć śmierci w wyniku przekupienia niemieckich oficerów i za wstawiennictwem oficera pochodzącego z Górnego Śląska.

W lipcu 1941 r. nacjonałści ukraińscy zaczęli wywlekać z domów Polaków i bestialsko ich mordować. Zginęli: Franciszek Grabowiecki, Wincenty Solecki, Stefan Sitko, Kazimierz Kurasiewicz, Franciszek Sitko, Franciszek Szczepański i inni. Kazimierzowi Piotrowowi cudem udało się uratować życie. Jak to wyglądało, przedstawiają relacje kilku żyjących jeszcze członków rodzin zamordowanych.

WIKTOR SOLECKI, s. WINCENTEGO: *Była niedziela w lipcu 1941 r. Ojciec ukrywał się na strychu przed nacjonalistami ukraińskimi, którzy co pewien czas nachodzili nasz dom w poszukiwaniu ojca. Matka doła w stajni krowy. Na nasze podwórko przyszła rodzona siostra ojca - Katarzyna Czornyńka, (która wyszła za mąż za Ukraińca, chodziła do cerkwi i czuła się Ukrainką). Zwróciła się do matki z pytaniem: "gdzie jest brat Wicko?" Matka odpowiedziała, że nie wie. Wtedy ciotka dodała: "Jego kara nie ominie, niech się zgłosi do selrady, bo to już koniec. Już tak będzie." Matka zapytała: "a co będzie?" Ciotka powiedziała: "Już jest teraz Ukraina" - i poszła do domu. Ojciec słyszał cały przebieg rozmowy i skwitował ją z żalem: "A to ci siostra! Wiem co oni ze mną zrobią, gdy się zgłoszę".*

Minęło dwa tygodnie od pierwszych licznych mordów. Pewnego dnia znalazł na strychu mego ojca, ukrytego w koniczynie, Ukrainiec Mychajło Hapij. Zabralo ojca trzech Ukraińców: ów Hapij, Petro Szozda i Stepan Staszczuk. Prowadzili go obok kościoła. Ja szedłem za nimi w pewnym oddaleniu z tyłu. Miałem wtedy 9 lat i już zdawałem sobie sprawę, że widzę ojca ostatni raz. Było mi bardzo przykro i płakałem. Po wprowadzeniu ojca do Domu Ludowego usłyszałem przeraźliwy krzyk.

Bili go. Ten krzyk będę pamiętał do końca swoich dni. W tym roku minie w lipcu 55 lat od tamtych wydarzeń⁵. Przebaczyć sprawcom śmierci ojca nie potrafię. Stałem na podwórku drugiej mojej ciotki, Tekli, rodzonej siostry ojca, która mieszkała obok Domu Ludowego i głośno płakałem. Zobaczył mnie tam jeden z Ukraińców a gdy dowiedział się kim jestem, dostałem od niego kamieniem w głowę. Uciekłem do ciotki. Gdy wyszła na podwórko, powiedziałem jej że Tata zabrali i słyszę jego krzyk. W odpowiedzi usłyszałem: "Tata już nie będziesz miał. To już koniec." I nawet nie widać było, że żal jej brata. Ona też wyszła za męża za Ukraińca.

Moja Matka chciała zobaczyć się z Ojcem i poszła do Domu Ludowego. Pytała, co może Ojcu podać, może mu czegoś potrzeba? Odpowiedziano jej, że ma tam wszystko. Zostawiła chleb i masło w garnuszku prosząc, aby mu to podali.

*Trzymali Ojca w piwnicy od wtorku do soboty. Tam bito go i katowano, zdzierano pasy skóry, skakano w butach po klatce piersiowej. Mykoła, mąż ciotki Tekli Ukrainiec, był dobrym człowiekiem i w tajemnicy przed domownikami (wyznał to mojej Matce przed swoją śmiercią) często patrzył w nocy przez okno. Widział jak katowano mego Ojca. Urządzano pokaz najwymiślniejszych tortur. Bijącym był siostrzeniec Ojca **Oleksadr Czornyński** - syn siostry Katarzyny. Drugim znęcającym się był bratanek. Brat Ojca nie wrócił z I wojny światowej i jego żona Ukrainka, wyszła po raz drugi za męża za swego rodaka, Wasyla Suszka. Dwóch pasierbów wychował na zażartych nacjonalistów. Czy musieli się popisywać? Czy musieli tak znęcać się? Był przecież ich wujem i stryjem, nic złego im nie zrobił! Czy dlatego, że był Polakiem musiał płacić za to cierpieniem i życiem?*

Wg relacji Mykoły (męża ciotki) Ojca mego wrzucono na wóz konny w niedzielę o godz. 4-tej rano i powieziono w kierunku wsi Byczkowce. Między Skorodyńcami a lasem znajdowała się stara leśniczówka, a obok niej głęboka studnia. Do niej prawdopodobnie wrzucono zwłoki Ojca. Gdy oprawcy wychodzili z piwnicy - mówił Mykoła - mieli ręce po łokcie unurzane we krwi. Myli je ostentacyjnie aby zwrócić na siebie uwagę, żądni pochwał za swój wyczyn.

c. d. n.

Informacja z ostatniej chwili

Jak podaje PAP, polski uczony, urodzony w Tarnopolu w 1901 r. **prof. Kazimierz Michałowski** został uhonorowany pośmiertnie przez

⁵ Relacja pisana w roku 1996. (Przyp. red.).

władze egipskie medalem “Zwierciadło Bogini Hathor”.

W czasie obrad VIII Międzynarodowego Kongresu Egiptologicznego w Kairze w br. medal przyjął prof. M. Gawlikowski dyrektor Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW im. K. Michałowskiego.

Anastazja Paszkowska
Sulechów

Co pozostało w mojej pamięci z Wołynia

Cz. I

Po przeczytaniu książki “Tragedia Podola”⁶ i biuletynu “Głosy Podolan”, postanowiłam także napisać o tragedii moich rodzinnych okolic na Wołyniu.

Urodziłam się jeszcze w 1912 roku, w wiosce Chiniówka w pow. Zdołbunów. Ojciec i dwaj wujkowie poszli w 1914 roku na wojnę, zostałam więc w domu tylko z Mamą i babcią. W porównaniu z II wojną światową - ta pierwsza była wojna cichą. Nie było widać ani samolotów, ani czołgów, ani nawet motocykli, nie strzelały “katusze”. Nie wszyscy więc ludzie te wojnę widzieli. Ale tam gdzie były pola walki, ludzie wojnę zobaczyli i także musieli uciekać z palących się wiosek; jednak cywilnej ludności nie mordowano.

W naszej Chiniówce ludzie siedzieli spokojnie, bo wieś położona była wśród skał, a dokoła rosły duże lasy. Była jednak bieda i odczuwaliśmy głód. A chociaż wojna światowa skończyła się w 1918 roku, na naszej ziemi spokoju jeszcze nie było, ponieważ Ukraińcy nie chcieli pogodzić się z tym, żeby tu była Polska i napadali na nasze wojsko. A potem, w 1920 roku, była jeszcze wojna z czerwonymi Moskalami. Miałam wtedy 8 lat. Tylko jeden raz widziałam przejeżdżające wojsko, i nawet nie wiem czyje ono było.

W tym czasie przyszło do naszego domu czterech dońskich Kozaków. Byli bez płaszczy, mieli podarte i pokrwawione koszule, a na głowie duże baranie czapki. Jeden z nich był bardzo chory. Babcia pozalewała im naftą rany, a ze skrzyni wyciągnęła stare koszule i podarła je na opatrunki. Mama nastawiła samowar i napoiła Kozaków zaparzoną kwiatem lipowym, osłodzoną sacharyną. Chleba w domu nie było. Ale paliło się w piecu, więc Mama wygarnęła żar i upiekła na nim cały koszyk kartofli. Kozacy zjedli je razem z popiołem i łupinami, tacy byli głodni. Jeden z nich jeszcze tej nocy zmarł. Babcia zabroniła mi mówić komukolwiek o

⁶ Autor: Edward Gross, wyd. POLIKart Warszawa, 1995 r. (Przyp. red.).

Kozakach, bo to było niebezpieczne. Jednego razu, gdy bawiłam się na podwórku, przyjechało na koniach pięciu mężczyzn. Rozmawiali ze sobą po ukraińsku. (Byli to podobno petlurowcy). Dali mi dwa cukierki i obiecali, że dostanę całą torebkę jeśli powiem gdzie ukrywają się Kozacy. Pamiętałam słowa babci i powiedziałam, że nikogo u nas nie było. Faktycznie jednak Kozacy przechowywali się u nas. W lecie dwóch poszło do lasu na grzyby i tam ktoś ich zabił, ale jeden u nas pozostał. Gdy była już Polska, przeniósł się do Ostroga i tam wstąpił do żandarmerii. Potem ożenił się z Rosjanką i wyjechał do swojego kraju nad Donem. Przysłał stamtąd fotografię i ładną kartkę z podziękowaniem.

Niestety, i po tej wojnie nie było u nas jeszcze spokoju. Ukraińcy nie chcieli pogodzić się z władzą polską. Przyszło więc wojsko gen. Hallera i zaprowadziło porządek. Od 1923 - 1924 roku ustały już na naszym terenie złodziejstwa i rozbójnictwo, i wszystkie narodowości żyły ze sobą w zgodzie.

Było u nas dużo Żydów, mieszkali przeważnie w miastach i zajmowali się handlem. Było też dużo Ukraińców, zajmowali się głównie rolnictwem. Były też czeskie i niemieckie kolonie. Polacy mieszkali przeważnie na mniej urodzajnej ziemi, wśród wzgórz, lasów i kamieniołomów. Mieszkała na tych terenach polska szlachta, jeszcze od czasów, kiedy Polska była w niewoli i przez 123 lata Polacy nie mieli swego państwa. Szlachta była wówczas wypierana przez Rosjan i prawosławnych Ukraińców na gorsze ziemie i zamieszkała te górzyste osiedla. Ukraińcy mówili wtedy: *Hodi wam Lachy panuwaty*.

Pamiętam, szło kiedyś siedem osób na odpust do Poczajowa i szedł z nimi stary dziadek podpierający się kijem, który wyjaśniał im po ukraińsku tak: *Wszystkie wioski w tym górzystym paśmie, to wioski panów polskich, samej szlachty. Oni byli bogaci i dobrze sobie żyli, a biedni chłopci musieli na nich za darmo pracować. A gdy chłop coś ukradł, to bili go nahajami. Teraz za to bidują* (szłam za nimi i dobrze to słyszałam).

Polacy nie byli mściwi i z biedą się pogodzili. A gdy Polska odzyskała niepodległość, to wszystkie narodowości traktowane były jednako. Miały prawo do swego języka, do swojej wiary i kultury. Nikt nikogo nie obrażał, nikogo nie krzywdził. Żyli wszyscy razem, razem pracowali, jedni drugim pomagali, zakochiwali się i żenili. Gdy u Polaków były święta Wielkanocne, to Ukraińcy w polu nie pracowali, a gdy oni mieli swoje święta, to Polacy świętowali także. Młodzież razem bawiła się, tańczyła, śpiewała polskie i ukraińskie piosenki. Ja na przykład miałam przyjaciółkę Ukrainkę i chłopca Ukraińca, który chciał się ze mną żenić. Nigdy nawet do głowy mi nie przyszło, że Ukraińcy to jakiś odmienny naród. Wierzyli w tego samego Boga co my, czcili Matkę Bożą, modlili się i żegnali znakiem krzyża. Któż mógłby pomyśleć, że przyjdzie taki czas gdy zamienią się w diabły i będą bez litości i sumienia mordować Pola-

ków?

Lata 30-te były spokojne. Można było w nocy iść do lasu na św. Jana (po kwiat paproci), a nikt nawet nie przestraszył. Ale w 1937 roku przyszło zarządzenie (nie wiem, od państwa czy od duchowieństwa?) że Ukraińcy o polskich nazwiskach szlacheckich mają powrócić do wyznania rzymskokatolickiego. Niektórzy to zrobili, a inni oburzali się i nie chcieli. Wtedy pojawili się działacze banderowscy (chyba z samego piekła) i zaczęli buntować ludność ukraińską.

Pewnego razu idąc do lasu na grzyby zobaczyliśmy, że cała droga do ukraińskich wiosek - Buszczy i Mostów - zasypana jest ulotkami: *Byj Żidiw, Moskaliw, riż Lachiw, buduj Ukrainu!* Podpisany był na nich Stepan Bandera. Ludzie czytali, ale nie wierzyli temu. A banderowcy już się organizowali, potajemnie kopali w lasach schrony, budowali bunkry i magazynowali broń. W Buszczy mieszkał kowal narodowości polskiej, Roman Jasiński. Ukraińcy zamówili u niego dużą ilość noży i siekier. Kiedy zapytał: *Po co wam tyle tego?* Powiedzieli: *pójdziemy na wojnę*. Nakazali mu milczenie, bo za zdradę zostanie zabity. Nocami wywozili banderowcy te noże do cerkwi, gdzie ich batuszka święcił je *szczob dobre Lachiw rizały*. Jasiński miał w Chiniówce brata i o wszystkim mu opowiedział, a brat powtórzył to nam.

Niedługo cieszyliśmy się odzyskaną wolnością. W 1939 roku nastąpił nowy rozbiór Polski. Z zachodu napadli Niemcy, ze wschodu Rosjanie. Nikt ich z radością nie witał, choć mówili obłudnie że przyszli Polakom z pomocą. W 1940 roku zaczęli wywozić w głąb Rosji rodziny wojskowych, policjantów, właścicieli ziemskich, a nawet ich służbę - pracowników leśnych. (Wywieźli też z rodziną mego wuja).

Ostróg to było miasto odległe od Chiniówki o 25 km. Do 1939 roku przebiegała tam granica polsko-sowiecka. Obok miasta przepływał Horyń, przez miasto Wilia, i ona była rzeką graniczną. Ostróg nie był dużym miastem, ale był tam stary zamek księżniczki Halszki, był kościół pw. św. Antoniego (13 czerwca odbywał się zawsze duży odpust), była ładna cerkiew zwana soborem i kilka szkół: Państwowe Gimnazjum, Seminarium Nauczycielskie, Męska Szkoła Powszechna im. S. Staszica i żeńska im. E. Orzeszkowej. W tej szkole ja się uczyłam. Mieszkałam w Ostrogu u swojej cioci i stąd znałam miasto.

3 maja 1925 roku przyjechał do Ostroga Józef Piłsudski. Całe miasto udekorowano flagami, ulice wysypano tatarakiem, a wysoką trybunę umajono zielonymi brzoźkami i kwiatami. Józef Piłsudski przemawiał z niej do zebranych, mieszkańcy witali go oklaskami. Grała orkiestra, śpiewano piosenki "Jedzie, jedzie na kasztance" i "Witaj majowa jutrzeńko" oraz inne. Na zakończenie uroczystości dzieci otrzymały cukierki.

Były też w Ostrogu koszary 19 Pułku Ułanów Wołyńskich. Co nie-

dziela maszerowali z orkiestrą do kościoła i grali podczas mszy św. na chórze. Dzieci wojskowych uczyły się razem ze mną: Zosia Wilczyńska - córka kapitana, Hania Kamińska - córka wachmistrza, Kazik i Marek Chłond. Był także jeden Niemiec - Agenor Brand - syn majora. Zastanawiałam się, dlaczego Niemiec jest oficerem w Wojsku Polskim?

Później zastanawiałam się często, co stało się z 19 pułkiem naszych ułanów gdy wkroczyli sowietci? Czy wszystkich ich wystrzelali lub potopili w Horyniu? Czy wywieźli do Katynia? Bo tyle lat upłynęło i nigdzie, ani w radiu, ani w telewizji, nikt nie mówił o ułanach z Ostroga!⁷.

Teraz znowu powrócę pamięcią do mojej rodzinnej Chiniówki. Była to polska wieś położona na wysokiej górze. Dokoła były skały, kamienie i lasy. Nie było we wsi wody, trzeba ją było wozić beczkami ze strumyka na dole. Ludzie żyli tu biednie ale wesoło. Tereny te znane były w Polsce niejednemu, ponieważ w 1926 roku rozpoczęła tu pracę wielka fabryka leśna. Przyjechało wtedy dużo pracowników z rodzinami - z Kieleckiego, z Lubelszczyzny, a nawet z Warszawy.

W 1936 roku wybudowano w Chiniówce piękną, piętrową szkołę powszechną, z dużą salą i sceną. Gdy przyjechał jakiś zespół taneczny z występami, to nadziwić się nie mógł, że w "takiej wiosce zabitej deskami" znajduje się taka szkoła, i taka scena. Przyjeżdżało też do nas z występami wojsko z pogranicza i urządzało zabawy taneczne. Był we wsi Związek Strzelecki i Koło Gospodyń Wiejskich. Z każdym rokiem żyło się coraz lepiej, weselej i ludzie zapominali o biedzie.

W sąsiedniej wiosce Kudryń także wybudowano 7-klasową szkołę. Tam uczyła się wspólnie młodzież polska i ukraińska, razem też wszyscy bawili się i śpiewali swoje piosenki. Ponieważ dziewcząt było mało, tańce były "odbijane", bo każdy chłopak chciał potańczyć. Ale bójek żadnych nie było. Na wsi nie było wtedy ani radia, ani telewizji, więc młodzież urządzała przedstawienia teatralne. Sportu nie uprawiała żadnego, sport - to była ciężka praca fizyczna od dzieciństwa. Ale smutno się zrobiło dopiero w 1939 r., gdy Polska utraciła swoją niepodległość. Wtedy umarła radość życia: Rosjanie wywozili ludzi na wschód, Niemcy na zachód, a Ukraińcy zamienili się we wrogów i mordowali Polaków.

Pamiętam dobrze rok 1941, gdy Niemcy napadli na Związek Radziecki. Kiedy sowietci uciekając stanęli na swojej dawnej granicy, rozpoczęło się piekło: samoloty, "katusze", samochody, motocykle, czołgi - to był taki straszny huk, że ziemia drżała. Gdy Niemcy popędzili sowietów dalej na wschód, odetchnęliśmy. Zapanowała u nas cisza i nie widzieliśmy już żadnego wojska.

⁷ Od początku 1939 r. 19 Pułk Ułanów Wołyńskich nie stacjonował w Ostrogu, tylko pułk piechoty KOP. (Przyp. red.).

W pogodny sierpniowy dzień szliśmy w pole do rozrzucania siana. Było nas czworo: ja, Franek i Mania Wojciechowski oraz ich stryjenka Agata, Ukrainka ze wsi Mosty, która była żoną Polaka Mikołaja Wojciechowskiego. (Wcześniej zwano ją Hapką, a kiedy została żoną Polaka zaczęto nazywać ją Agatą). Szliśmy przez las i nagle pojawił się przed nami sowiecki oficer. Przestraszyliśmy się. Był w płaszczu, a całe piersi miał przestonięte skrzyżowanymi ładownicami z nabojami. Gdy zatrzymaliśmy się zawołał po rosyjsku: *Nie bojcieś, pojdzie siuda*. Potem zapytał nas dokąd idziemy i kim jesteśmy - Polakami czy Ukraińcami? Jaka to miejscowość? Czy jest tu jakaś partyzantka albo bandy? Powiedzieliśmy, że w naszym lesie ich nie ma. (A jednak bandy ukraińskie były, tylko siedziały cicho w swoich bunkrach i nic o nich nie wiedzieliśmy). Potem Rosjanin zapytał, gdzie są Bielany? Nie znaleźliśmy takiej miejscowości. A jak daleko stąd Warszawa, ile kilometrów? Daleko, a ile kilometrów, kto to wie? Na koniec powiedział nam, że lecieli samolotem na pomoc Warszawie, mieli zrzuć powstańcom broń, ale w nocy spuścili ich (40 osób) z samolotu tutaj i nie wiedzą gdzie się znajdują.

Poszliśmy dalej; gdy odwróciłam się oficera już nie było. Wtedy Agata powiedziała: *Idźcie sami rozrzucać siano, ja muszę wrócić do Mostów i zameldować naczelnikowi o tym spotkaniu*. Pytaliśmy ją, dlaczego chce to zrobić? Powiedziała tylko, że musi. Wróciła do nas dopiero o godzinie 4-tej po południu. Tłumaczyła się, że naczelnik był w lesie i nie mogła go znaleźć.

Przy skrzyżowaniu dróg z Buszczy do Chiniówki znajdowała się szkółka leśna ogrodzona płotem z chrustu. Rosły tam ładne kwiaty i gdy wracaliśmy do domu chciała je zerwać. Kiedy zbliżyłam się do ogrodzenia przestraszyłam się, ponieważ w szkółce leżało na ziemi wielu mężczyzn z karabinami skierowanymi w stronę drogi. Uciekłam i opowiedziałam moim towarzyszom co widziałam. Agata na to, że byli to z pewnością rosyjscy spadochroniarze. Ale ja dobrze widziałam, że to nie byli żołnierze ale uzbrojeni cywile.

Gdy dzieci pognały następnego dnia było do lasu, zaraz przygnały je z powrotem. Po lesie jeździli konno Ukraińcy i wszystkich stamtąd wyganiali uprzedzając, by nikt dziś i jutro bydła w lesie nie pasł, bo będzie tam "mała pieriestrietka". Jeszcze tego samego dnia około godziny drugiej po południu rozpoczęła się gęsta strzelanina. Nie wiedzieliśmy co się stało. Później przyszedł do nas Ukrainiec Mudiucha i wyjaśnił. Otóż spadochroniarze rosyjscy rozpalili na polanie ognisko, i ustawivszy karabiny w kozły, zabrali się do obiadu. Banderowcy okrążyli ich i wszystkich wystrzelali. Z zabitych ściągnęli odzież, bieliznę i buty, zabrali broń. Potem kazali Polakom zwłoki pogrzebać. Przy pochówku byli: ów Mudiucha, mąż Agaty - Mikołaj Wojciechowski, bracia Hryniewieccy oraz dwóch Ukraińców z Buszczy.

c. d. n.

Jan Raniczkowski
Wymiarki

Urodziłem się w Kamieńcu Podolskim (Wspomnienia) Cz. XI

Jestem bardzo związany uczuciowo z moją konspiracyjną organizacją na Podolu w latach II wojny światowej, i chciałbym na zakończenie moich wspomnień napisać jeszcze o niektórych ludziach i o wydarzeniach jakie miały miejsce już po wojnie, a które zapamiętałem albo w których brałem pewien udział.

Do Częstochowy na Pielgrzymki Żołnierzy Armii Krajowej jeździłem już z Wymiarek. W 1989 roku spotkałem w kościele wrocławskim na mszy wieczornej AK-owców dużo jak mrówek, ale gdy w 1977 roku stałem Na Jasnej Górze z tablicą informacyjną "TARNOPOL", podszedł do mnie tylko jeden człowiek. I przez cały czas uroczystości reprezentowaliśmy Tarnopol tylko we dwóch: ppłk Piotr Woźniak "Wir"⁸ i ja - Jan Ra-

⁸ Urodz. 9.02.1912 we wsi Młyniska, w pow. trembowelskim. Przed wojną ukończył Seminarium Nauczycielskie w Tarnopolu i podjął pracę w zawodzie. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 r. 11.11.1939 aresztowany przez NKWD, umieszczony w więzieniu w Rawie Ruskiej - zbiegł po kilku miesiącach. Wstąpił do ZWZ, potem AK. Był szefem II oddziału (wywiadu wojskowego) Sztabu Okręgu AK Tarnopol. Po wkroczeniu Sowietów (w 1944 r.) walczył w organizacji "NIE". W grudniu 1944 uciekł przed aresztowaniem do Lwowa. Po dekonspiracji i ucieczce do Przemyśla, objął d-two zgrupowania partyzanckiego "SAN". Od VIII. 1945 - szef Sztabu Okręgu NOW na terenie Centr. Okręgu Przem. Od IX. 1945 - K-t Okręgu Narod. Zjedn. Wojsk. na obszarze od Przemyśla do Sandomierza. W 1947 - ujawnia się w ramach amnestii i podejmuje pracę nauczyciela w Bytomiu. W VIII.1948 aresztowany przez UB. Podczas przesłuchań bito i torturowano, po śledztwie dwukrotnie skazany na karę śmierci. W późniejszym okresie przechodzi osławione więzienie w Głównym Zarządzie Informacji Wojskowej w Warszawie, a następnie więzienie we Wronkach, gdzie w 1956 zastaje go amnestia. Po wyjściu z więzienia kończy studia historyczne i uzyskuje doktorat z nauk humanistycznych. W latach 1980 - 1981 aktywny członek "Solidarności", (był członkiem Zarządu i Prezydium NSZZ "Solidarność" Krajowego Zjazdu Kombatantów w Gdańsku, gdzie zastaje go stan wojenny). Więziony i represjonowany po raz trzeci, korzysta z amnestii w 1984 r.

niczowski "Belcen-Belz". Od O. Jana Golonki z Jasnej Góry otrzymałem później kartkę z życzeniami świątecznymi i dopiskiem: *Niech żyją Tarnopolanie.*

W 1977 roku, po zrobieniu pod murami klasztoru tego historycznego zdjęcia⁹ - Tarnopol - Stanisławów - Złoczów - Lwów - co zorganizował "Wir" i stanął obok nas, zwrócił się do mnie ze słowami: *Do zakończenia mojej książki brakuje mi jeszcze Zbaraża. Proszę ich znaleźć, nigdzie ich nie słychać.*

Postanowiłem pomóc. I już w Częstochowie, słysząc nasz akcent pytałem ludzi czy znają kogoś ze Zbaraża. Podobnie robiłem w Opolu, Katowicach i Wrocławiu. Trzeba próbować w Żarach - pomyślałem - i dwa tygodnie później wyruszyłem wczesnym rankiem autobusem do Żar.

W zakładzie fryzjerskim, poczekawszy aż klienci wyjdą, zapytałem właściciela czy zna tu kogoś ze Zbaraża?

- *Był u nas fryzjer Ozimina - usłyszałem uradowany. - Mieszka w kamienicy przy ratuszu. Ale to nie ja go wskazałem - dodał pośpiesznie. Chodziłem długo wokoło budynku przy ratuszu i nie mogłem znaleźć do niego wejścia. Zatrzymałem nadjeżdżającego motorowerem mężczyznę i pytam jak tu wejść?*
- *A do kogo pan?*
- *Do pana Oziminy.*
- *To ja nim jestem - powiedział zaskoczony. - A w jakiej sprawie?*
- *Jesteś pan swój - mówię z miejsca - trzeba do zakończenia książki o działalności Armii Krajowej w Zbarażu znaleźć niektórych ludzi.*
- *Jest tu Józef Rzeźnik¹⁰. Jego żona pracuje w sklepie papierniczo-zabawkarskim. Ale proszę nie mówić, że to ja panu wskazałem.*

Ucieszony, że mam już jakiś ślad zapewniłem, że będę milczał. Ozimina odjechał, a ja nie mam adresu Rzeźnika. Wskazany sklep otwierała młodziutka kobieta. Za młoda - pomyślałem. Zauważyłem jednak kartkę z adresem ul. Dąbrowskiego 25. Kawał drogi, ale obowiązek mobilizował. Pod numerem 25 otworzyłem drzwi na wąski korytarz i prawie pionowo wszedłem kamiennymi schodami w górę. Drzwi otworzył

Jest autorem książek: "Zapluty karzeł reakcji" (Wspomnienia AK-owca z więzień w PRL), "Z niw i ugorów mego życia. Wojna" i in. Opracował "Dzieje AK w Okręgu Tarnopol" (maszynopis 1986). (Przyp. red.).

⁹ Fotograf nie przysłał mi odbitki. Jeśli ktoś z Czytelników posiada tę fotografię, serdecznie proszę o udostępnienie mi jej do skopiowania. Będę bardzo wdzięczny. (J. R.).

¹⁰ D-ca jednego z plutonów AK Obwodu Zbaraż. Brat Wiktora - "Giermka". (Przyp. red.).

mężczyzna pytając:

- *Do kogo?*
- *Do pana Józefa Rzeźnika.*
- *To ja - powiedział zaskoczony.*
- *Mój dowódca z Okręgu Tarnopol - mówię - kończy książkę. Potrzebne są informacje o działalności AK-owców w Zbarażu.*
- *Jest dowódca, mieszka we Wrocławiu. - I otrzymuję adres p. Józefa Supela przy ul. Krasińskiego...Ale proszę nie mówić, że to ja panu podałem - usłyszałem po raz trzeci tego samego dnia. I zaraz potem: A kto pana do mnie skierował?*
- *Ktoś, kto tak jak pan prosił o dyskrecję - odpowiedziałem.*

Już następnego dnia pojechałem do Wrocławia. Przyjęła mnie żona p. Supela¹¹. Zachowała się bardzo konspiracyjnie. Wyszła ze mną z domu (nie informując gdzie mąż pracuje) i pozostawiła przy zbiegu linii tramwajowej i autobusowej. Dalej poszła sama. Czekałem. Po pół godziny podszedł do mnie nieśmiało p. Supel.

- *O tej sprawie porozmawiamy gdy wrócę po pracy do domu - powiedział.*

Bardzo szybko zleciał czas u państwa Supelów. Po obiedzie p. Józef opisał swoją działalność konspiracyjną, a wieczorem zawiozłem to opracowanie p. Woźniakowi do Bytomia. Był uradowany ale i zaskoczony, bo nie przypuszczał że pierwsze informacje otrzyma już po trzech tygodniach. Na pożegnanie powiedziałem, że niebawem odwiedzę dowódcę - Józefa Kraśnickiego - w Lipinkach Łużyckich.

Z wizyty u p. Supela zapamiętałem jeszcze, że kpt. Eugeniusz Landsberg (Żyd zbaraski) oskarżał jako prokurator wojskowy swego gimnazjalnego kolegę - Józefa Kraśnickiego za przynależność do konspiracji. Zaskoczony p. Supel zwrócił się wówczas do Landsberga: *Jasiu! Co ty tu robisz? - Ja mu dam dobrego adwokata* - odpowiedział prokurator. (Tym adwokatem był niejaki Merbaum z Czortkowa). Potem Landsberg przekazał sprawę Kraśnickiego prokuratorowi Święcickiemu. Pan Józef otrzymał wyrok 5 lat więzienia¹².

Przy okazji dodam, że ojciec p. Joanny Kraśnickiej (z domu Tracz, ps. "Orlik") był legionistą i osadnikiem wojskowym. Gospodarstwo Kraśnickich na Podolu znajdowało się na terenie nowobudowanej kolonii za Hrycowcami a że leżało w pobliżu bagienka - nazwali je "Żabim Rajem". Mąż pani Joanny był dowódcą Obwodu AK Zbaraż (Kryptonim "Graży-

¹¹ Eleonora, ps. "Wiosna" kierowniczka łączności konspiracyjnej. (Przyp. red.).

¹² Po zwolnieniu z więzienia p. Kraśnicki (aż do emerytury) był dyrektorem szkoły ogólnokształcącej w Żarach. Uczył nawet "towarzyszy" z UB na wieczorowych kursach. (J. R.).

na”). Mówił mi, że przysięgę składał na ręce “Grażyny”¹³ i dlatego jej imieniem nazwał Obwód.

Pierwszym K-tem Obwodu Zbaraż został Wiktor Rzeźnik ps. “Giermek”. Gdy został przeniesiony na d-cę KEDYW-u do Tarnopola, jego stanowisko objął Józef Kraśnicki “Godlewski”, a zastępcą został Józef Supel “Gryf”.

Po wojnie przywiózł “Giermek” na Ziemię Zachodnie dokumenty ze Zbaraża i zakopał je w gospodarstwie w Mirosławicach Dolnych, w b. powiecie Żary. Pistolet wrzucił do studni na podwórzu. Gdy siedział już w więzieniu, zjechali do Mirosławic funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Wykopali z ziemi metalową rurę, wyjęli z niej dokumenty, a ze studni wypompowali wodę i wyciągnęli pistolet.

Chciałem pojechać ponownie do Kraśnickich w Lipinkach Łużyckich, może otrzymałbym tam jakieś dokumenty ze Zbaraża. Pamiętałem bowiem co mówił “Godlewski”, że część ich została zakopana. Pani Kraśnicka powiedziała mi jednak, że wie gdzie papiery zostały zakopane po raz pierwszy, ale gdzie później mąż je przechowywał - nie wie. Przy okazji zapytałem p. Joannę dlaczego p. Supel nic o niej nie wspomniał w swoim opracowaniu, mimo że była nie tylko łączniczką do Tarnopola ale jeździła też do Lwowa. Nic mi na to nie odpowiedziała.

- *Przynosi mi tylko kolega z Zielonej Góry - zwierzyła się - cienkie AK-owskie broszurki, to je sobie powoli czytam.* Poprosiłem o jego adres. Po dwóch tygodniach przysłała mi w liście adres p. Eugeniusza Jaworskiego z Żagania. Już następnego dnia byłem u niego. (Pokazał mi wówczas prenumerowane “Głosy Podolan” i w ten sposób nawiązałem kontakt z Redakcją).

Męczy mnie jeszcze to co powiedział p. Jaworski, że w studni może znajdować się szuflada z dokumentami przywiezionymi przez “Giermka”. Muszę jeszcze raz pojechać do Mirosławic, choć mam bardzo złe połączenie z Wymiarek, i obejrzeć tę studnię dokładnie. Tamto podwórze nie ma już nic z pierwotnego wyglądu, a studnia stoi jak sierota. Z bratankiem “Giermka” nie ma co rozmawiać, bo o niczym nie wie, dopiero ode mnie dowiedział się co nieco. Brat Wiktora mieszka obecnie w Nowej Soli i nie ma pamięci.

¹³ Elżbieta Zielińska (z domu Barylska), członkini Związku Strzeleckiego w Tarnopolu. Nauczycielka. W latach 1942-1944 żołnierz AK, ps. “Grażyna”. W mieszkaniu jej rodziców przy ul. Dorosza w Tarnopolu znajdował się punkt kontaktowy AK. Chodząc po wsiach z polecenia władz konspiracyjnych, odnalazła w Hrycowcach i Kretowcach dwóch wojskowych: ppor. rez. Wiktora Rzeźnika i ppor. kawal. sł. st. Józefa Kraśnickiego, których zaprzysięgła na żołnierzy AK. Potem przeszła do pracy w WSK. Po zamordowaniu przez UPA jej męża w sierpniu 1943 r., otrzymała urlop i wyjechała do Tarnopola. O okolicznościach śmierci Zenona Zielińskiego pisze w nr. 20 “Głosów” na str. 14-15 p. Bolesław Łukasiewicz we “Wspomnieniach ze Stryjówki”. (Przyp. red.).

Z listu p. Joanny Kraśnickiej dowiedziałem się, że ona także składała przysięgę na ręce "Grażyny". Píše mi dalej tak: (...) *Pan "Soroka"*¹⁴ kilka razy przyjeżdżał do nas i bardzo dobrze go wspominam. Pan "Ordon"¹⁵ mieszkał u nas w Żabim Raju z żoną¹⁶ kilka tygodni albo miesięcy, a później w Kretowcach na plebanii u ks. Klee¹⁷. Byliśmy zadowoleni z jego "odlotu", bo (...) u nas gospodarka i pełno roboty dla każdego. Był również niezadowolony, że dom nasz często był schronieniem dla ludzi zagrożonych przez okupanta.

Potwierdzam jako świadek, że praca p. Piotra Woźniaka nie została wydana, zrobiono tylko kilkanaście odbitek maszynopisu. Nie znam tytułu¹⁸, a chciałbym poznać żeby napisać do Komendy Policji w Bytomiu o zwrot przynajmniej "mojego" egzemplarza.

Do p. Woźniaka przyjeżdżałem do Bytomia konspiracyjnie. Byłem tam mile widziany. Ale trzeba było tak wejść do korytarza kamienicy, żeby UB-owcy nie zauważyli. W dniu powszednim było łatwiej, ponieważ kręciło się więcej ludzi. Kilka razy pytał mnie nawet p. Woźniak jak udało mi się wejść, ponieważ dom był pod stałą obserwacją.

Pewnego razu wyjechałem wieczorem od brata z Opola do Bytomia. Już na ulicy Wieczorka, zbliżając się do nr. 30 zauważyłem dwóch "aniołów stróżów" idących w moim kierunku. Ale udało mi się małym manewrem wślizgnąć na korytarz. Drzwi mieszkania otworzył mi gospodarz, a w mieszkaniu jak po wojnie... Szafy pootwierane, szuflady wysunięte, porzucane papiery. Ale na twarzy p. Woźniaka zadowolenie. - *Nie dałem im zabrać Piłsudskiego i plakatów "Solidarności"* - powiedział. - *Zabrali natomiast pana adres i odbitkę mojej pracy, którą przyniosłem dla pana ze schowka.*

Wróciłem pociągiem do Opola, a następnego dnia do Wymiarek. Zmartwiona żona mówi mi, że u naszych sąsiadów Mazurkiewiczów byli UB-owcy i wypytywali o mnie. Przekazywali - dodała - żebyś do Częstochowy nie jechał.

¹⁴ Ur. 3.12.1900, mjr sł. st. 9 Pułk Ułanów w Trembowli - Bronisław Zawadzki. K-t Inspektoratu AK Czortków. W VIII.1943 przeniesiony na stanowisko Szefa Sztabu Okręgu AK Tarnopol, ps. "Soroka". "Luśnia". Aresztowany w XII.1944 r. po krótkim pobycie w więzieniu czortkowskim zesłany w głąb ZSRR, gdzie zaginął bez wieści. (Przyp. red.)

¹⁵ Bronisław Żeglin, ppor. 52 ppsk z Złoczowie. W 1942-1944 żołnierz AK ps. "Ordon". K-t Inspektoratu AK Tarnopol. Po opuszczeniu miasta przez płk dypl. F. Stuzińskiego - do XII.1944 pełnił obowiązki K-ta Okręgu AK Tarnopol. Potem w "NIE". Do lata 1945 ukrywał się na terenie pow. Zbaraskiego. (Przyp. red.)

¹⁶ Olga Żeglinowa ps. "Weneda" - kierownik łączności Inspektoratu AK Tarnopol. (Przyp. red.)

¹⁷ Kazimierz Klee kapelan Inspektoratu AK Tarnopol. (Przyp. red.)

¹⁸ "Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Tarnopolskim 1941-1944. Zarys monograficzny". Bytom 1986. Maszynopis. (Przyp. red.)

Pojechałem. Tyle, że nie wieczorem jak planowałem, ale następnego dnia rano, i z innej miejscowości niż Wymiarki. Przejeżdżiliśmy pociągami z p. Piotrem Woźniakiem niejedną noc. On robił z okna wagonu zdjęcia. Współpracowałem z nim przez cały okres stalinowski w Polsce. Potwierdzeniem tego jest pisemne podziękowanie, które zachowałem.

I jeszcze jedno wspomnienie. Byłem umówiony z "Wirem" aby pomóc w przenoszeniu paczek z odbitkami, matrycami itp. Do schowka poza domem. Ponieważ pociąg z Węglińca był opóźniony, zanim dotarłem do Bytomia wszystko już było schowane. "Wira" zastałem w szkole, (w której uczył), wśród kolegów-pedagogów. Przedstawił mnie: *Oto żołnierz AK, Kresowiak. Jest czynny i dokładny w wykonywaniu zadań. Przywiózł spod Łomży wiadomość, że prawdą jest to co podała rozgłośnia "Wolna Europa" - w Czerwonym Borze siedzą UB-owcy, a na zewnątrz straż pełnią sowieci.*

Żył jeszcze ppłk Piotr Woźniak, kiedy w kościele wrocławskim przy ul. Grabiszyńskiej złożyłem na zbiórce po nieszporach swoją AK-owską legitymację (otrzymaną z Londynu), podziękowanie "Wira" za współpracę oraz moje podanie o przyjęcie do ŚZZAK. Organizatorem tego spotkania był p. Daniel Wodzyński (powstaniec warszawski) i p. Maria Adela Grabowska. Otrzymałem legitymację przynależności do Związku i opłaciłem składki członkowskie.

Wcześniej otrzymałem krótki list od "Wira" (z 12 sierpnia 1985 r.) tej treści: *Drogi Panie Janie, nie mam od Pana wiadomości, czy otrzymał Pan Krzyż AK. Powinien już dotrzeć albo jest w drodze, bo koledzy w sprawie których interweniowałem już otrzymali. Mam nadzieję, że spotkamy się na pielgrzymce 8 września 1985.*

Wszystko to otrzymałem i złożyłem na wspomnianym wyżej spotkaniu we Wrocławiu.

Podziękowanie¹⁹

Kol. Janowi Raniczkowskiemu, żołnierzowi Armii Krajowej, wyrażam podziękowanie i uznanie za trud i patriotyczną postawę przy zbieraniu materiałów do opracowania historii Okręgu Tarnopolskiego Armii Krajowej, nad którą obecnie pracuję.

Bytom, dnia 12.IX.1983 r.

/-/ Piotr Woźniak
ppłk dr

Klasztor oo. Paulinów
ul. Kordeckiego 2

Częstochowa, 10.IX.1989 r.

¹⁹ Odpisu dokumentu z oryginału dokonała Redakcja.

42-200 Częstochowa

Potwierdzam autentyczność podpisu ppłk Piotra Woźniaka.
/-/ O. Jan Golonka

Po nagłej śmierci ppłk Woźniaka kazano mi potwierdzić własnoręcznie jego podpisu, co zrobił O. Jan Golonka z Częstochowy, który znał nas obu od kilku lat. Potem otrzymałem pismo, że zostałem przeniesiony do Oddziału ŚZZAK w Lubinie. Z Lubina zażądano ode mnie dokumentów i opisu mojej działalności. Nic z tego nie rozumiejąc, pojechałem do Wrocławia do p. Daniela Wodzyńskiego żeby sprawę wyjaśnić. W jego prywatnym mieszkaniu przy ul. Zaolziańskiej dowiedziałem się, że do zarządu Związku weszli ZBOWiD-owcy, wszystkie dotychczasowe ustalenia anulowali i zażądali złożenia na nowo dokumentów lub przedstawienia świadków ze swego oddziału AK. Z Londynu niczego nie respektowali. A moje dokumenty w ogóle znikły, i we Wrocławiu, i w Lubinie.

c. d. n.

Antoni Gołębiowski²⁰
Warszawa

Ziemia Skałacka
w przededniu II Wojny Światowej
(w notatkach korespondentów prasy regionalnej)
Cz. I

Kiedy latem 1939 roku z czerwoną licealną tarczą z nr. "609" na rękawie munduru szkolnego, a nie jakiegoś anonimowego ciucha, przekraczałem dumnie kolejną cezurę wiekową - nie wiedziałem, że moje plany, ideały, marzenia i oczekiwania zniweczy tak okrutnie, zbliżająca się wojna.

Nie przypuszczałem, że przez najbliższe dwa lata zamiast w II Państwowym Gimnazjum i Liceum im J. SŁOWACKIEGO w Tarnopolu - będę zdobywał wiedzę w skałackiej ukraińskiej "desiatyriczce", zaszeregowany do 9-go "klasa". Nie sądziłem też, że dla trojga Ukraińców z tej klasy - pozostałych dwudziestu Polaków i Żydów oraz większość nauczycieli zmuszona będzie posługiwać się obcym dla nich językiem.

²⁰ Ur. 1923 r. w Podwołoczyskach, od 1926 r. zamieszkały w Skałacie, syn Władysława - urzędnika skarbowego i Rozalii - nauczycielki szkoły żeńskiej w Skałacie.

Nie mogłem też wiedzieć, że po złożeniu egzaminu dojrzałości w czerwcu 1941 r. tylko błyskawiczna ofensywa niemiecka uratuje mnie od wcielenia do Czerwonej Armii. Nie przeczuwałem też co wydarzy się w następnych trzech latach.

Nie mam zamiaru snuć w tym miejscu wspomnień z tego ponurego okresu. Zrobili to inni, a może jeszcze zrobią, lepsi ode mnie.

Wspominając tamte dni odsyłam czytelników do wspomnień ks. Józefa ANCZARSKIEGO²¹, ówczesnego wikariusza w Skałacie, który dość wiernie utrwalił na kartach swojej książki grozę tamtych lat.

Dodam wreszcie, że koniec wojny zastał mnie w podberlińskiej miejscowości Wandlitz See. Miałem prawie 22 lata, byłem żołnierzem 1 Armii WP i szczęśliwy, że to już koniec - rozkoszowałem się życiem, które wyniosłem z tej wojny i wiosną, która właśnie "wybuchła" w całej kra- sie jabłoni kwitnących na stoku, łagodnie opadającym ku brzegom jeziora Wandlitz.

Ale nie o tym chciałem pisać. Wspomnienia z półtorarocznej frontowej służby wojskowej to materiał na inną być może okazję.

Za pióro chwyciłem z innym zamiarem. Chciałem mianowicie odbyć podróż sentymentalną do Skałatu i Ziemi Skałackiej w okresie, poprzedzającym ponure dni wojennej pożogi, rzezi i niewyobrażalnych cierpień Polaków, szczególnie na wsiach, zagłady Żydów, zniszczeń materialnych i ludzkich dramatów.

Przesuwają się więc w pamięci obrazy z prowincjonalnego skądinąd, ale przecież powiatowego miasta S k a ł a t u.

Pamiętam, na skraju miasta od strony Nowosiółki Skałackiej, tuż przy dużej posesji państwa Kuderewiczów, naszych sąsiadów, tablicę obwieszczającą, że miasto Skałat ma 7014 mieszkańców.

Pamiętam, z jaką regularnością przyjeżdżał rano i po południu pociąg z Tarnopola, pokonując odległość 40 km w ciągu 2 godzin w drodze do końcowej stacji w Grzymałowie.

Pamiętam też, z jaką regularnością listonosz p. GŁOWISZYN dostarczał nam codziennie rano o 9-tej krakowski dziennik IKC.

Pamiętam żydowski folklor, szczególnie w piątek wieczorem kiedy zapadał szabas, świętowany przy zapalonych świecach, a w okresie "Kuczek" - święta Namiotów, w budowanych specjalnie na ten okres szałasach. W centralnym punkcie miasta u zbiegu ulicy Piłsudskiego i (chyba) 3-go Maja, prowadzącej do Krzywego i Grzymałowa oraz ulicy prowadzącej w kierunku Mantiawy i Tarnopola, stawał w piątek o zmierzchu bogobojny Żyd z miejscowej synagogi i nawoływał do modlitwy wołając głośno - *gajt in szil arajn*.

²¹ Ks. Józef ANCZARSKI - Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej. - Kraków 1996.

W tym samym miejscu, przy wejściu wąską uliczką na rynek, mijając owocarnię p. PICKA i koszerną jatkę mięsną, można było spotkać miejscowego Żyda - faktora (odpowiednika dzisiejszego cinkciarza), który dokonywał swoich nieoficjalnych transakcji, a kurs ówczesny, jak pamiętam wynosił - 1dolar = 5.25 zł.

A w pogodne majowe wieczory rehot żab na Księżym Kącie, latające chrabąszcze, których teraz w dobie chemizacji już prawie nie widać, porykiwanie bydła wracającego z pastwisk do obór i to nasze podolskie, jedyne w swoim rodzaju ciemnogramatowe, często roziskrzone gwiazdami niebo.

Aby pozostać przy tej sielankowej niemal wizji utrwalonej w pamięci szesnastoletniego chłopca - nie wspomnę o jesiennych szarugach i trzydniówkach, kiedy "łało jak z cebra", ani o śnieżnych zimach i siarczystych mrozach, właściwych dla panującego tam kontynentalnego klimatu.

Chciałbym natomiast przekazać czytającym te wspomnienia klimat społeczny tamtych, jak się okazało, ostatnich dni wolności na "ziemi skąd nasz ród". Klimat, ukształtowany w polskich rodzinach, dyscyplinę i wyrobienie obywatelskie, poszanowanie cudzej i wspólnej własności, a przede wszystkim patriotyzm i właściwie pojętą tolerancję wobec innych wyznań i narodowości. Szczególnie patriotyzm - obecnie po 60-ciu latach pojęcie prawie zapomniane, a dla wielu młodych ludzi zgoła nieznane.

W tym celu posłużę się materiałem faktograficznym, zaczerpniętym z ówczesnej regionalnej prasy periodycznej z lat 1938 - 1939, a w szczególności tygodnikami: "WSCHÓD" - Tygodnik Ziemi Południowo - Wschodnich - wydawany we Lwowie oraz "GŁOS POLSKI" - Regionalny Tygodnik Podolski - wydawany w Tarnopolu.

Wertując pożytkie już roczniki "WSCHODU" i "GŁOSU POLSKIEGO" zachwyciłem się bogactwem materiału, który jest trwałym świadectwem aktywności społecznej i obywatelskiej w Skałacie i Ziemi Skałackiej. Dopiero teraz, przy tej lekturze, mogłem z satysfakcją stwierdzić rozmiary tej aktywności i wielkiego zaangażowania społeczeństwa w ugruntowanie polskości na tych ziemiach.

Wzruszające są opisy różnego rodzaju akcji społecznych i przedsięwzięć, świętowanie rocznic, spotkań opłatkowych, obchodów, działalności gospodarczej, kulturalnej i sportowej.

Postanowiłem materiał prasowy cytować z zachowaniem oryginalnej pisowni, bez jakichkolwiek korekt i uwspółcześniania stylu i tekstu, szanując w ten sposób trud nieznanymi²² korespondentów - amatorów i społeczników.

²² Wyjątek stanowi ostatnia z cytowanych w tym tekście korespondencji - pióra autora tych wspomnień, a dotycząca "Sokoła" skałackiego. Tym skromnym "debiutem" próbowałem swych sił w zawodzie, w młodości wymarzonem, a w życiu niespełnionym.

W zamyśle moim było ponadto podanie jak największej ilości nazwisk w nadziei, że czytelnicy "Głosów Podolan" odnajdą tam siebie, a jeżeli nie ma ich już wśród nas, to odnajdą je ich synowie, córki, wnuki, a może i prawnuki i zadumają się choć przez chwilę nad tamtymi laty. Dla starszych będzie to chwila refleksji nad przemijaniem czasu, dla młodszych - mały suplement do historii ziem południowo-wschodnich.

Selekcja materiału nie była przypadkowa, ale w miarę dokładna. Niech więc nie mają do mnie żalu Podolanie z moich rodzinnych Podwołoczysk, Horodnicy czy innych równie aktywnych społecznie miejscowości, ale zabrakło tam na pewno wówczas korespondentów terenowych, którzy daliby świadectwo prawdzie.

Każde niemal nazwisko, które czytający znajdzie na tych kartach przywołuje z pamięci określoną postać jak choćby p. Józefa WYROZUMSKIEGO, dyrektora szkoły męskiej w Skałacie - wielkiego erudyty, patriotę, działacza społecznego, członka założyciela "Sokoła" skałackiego i Związku Szlachty Zagrodowej, czy p. Kazimierza LORENCA, dyrektora szkoły żeńskiej, którego pamiętam z jego patriotycznych przemówień wygłaszanych na trybunie w parku przy okazji różnych uroczystości państwowych. A do tego należało mieć donośny głos, bo nagłośnienia megafonicznego wtedy w Skałacie nie było.

□ □ □

Kronikarz tamtych lat napisałby:

Jest Rok Pański 1938. W kraju trwa akcja pomocy zimowej dla najbiedniejszych. Związek Strzelecki (ZS)²³, na kresach wschodnich dosyć dobrze zorganizowany nie pozostaje obojętny, jak to widać z następującej korespondencji:

Związek Strzelecki w Chmieliskach na pomoc zimową.

Związek Strzelecki w Chmieliskach urządził przedstawienie p.t. "Marek Łopian". Przedstawienie wypadło okazale, zwłaszcza śpiewy i tańce narodowe (oberek) wprawiły publiczność w zachwyty. 50% dochodu w kwocie 12 zł 92 gr przeznaczył Zarząd na pomoc zimową zaś 12 .92 na zakup odbiornika radiowego do świetlicy.

WSCHÓD - nr 75, (20.02.1938)

²³ Związek Strzelecki (Strzelec) 1/ organizacja paramilitarna, założona legalnie w 1910 r. na terenie zaboru austriackiego jako towarzystwo "Strzelec" oraz konspiracyjnie w zaborze rosyjskim i pruskim w celu walki z Rosją w zbliżającej się w wojnie światowej. 2/ państwowa organizacja społeczno-wychowawcza młodzieży powołana w grudniu 1919 r., nawiązywała do tradycji ZS. (wg Encyklopedii Popularnej PWN wyd. VII z 1982 r.)

Materialna pomoc tego społecznego odruchu nie była zbyt wielka (równowartość 13 kg cukru), ale przy okazji zakupiono również dla świetlicy radioodbiornik, który na owe czasy spełniał rolę dzisiejszej telewizji satelitarnej i innych cudów techniki audiowizualnej.

W tym samym niemal czasie miał miejsce:

Kurs gospodarstwa domowego w Dorofijówce.

W Dorofijówce pow. Skalał odbyło się uroczyste zakończenie 2-miesięcznego kursu gospodarstwa domowego, urządzonego staraniem TSL²⁴. Kurs, prowadzony przez p. BIENIÓWNE, ukończyło 45 członkiń.

W uroczystości wzięli udział starosta mgr T. RUTKOWSKI, pułk. PIETRZYK, kpt. FIJAŁKOWSKI i p. TUSTANOWSKI.

WSCHÓD - nr 79, (30.03.1938)

a w Połupanówce:

- Zakończenie kursu trykotarstwa, urządzonego staraniem TSL. Kurs prowadzony przez p. DUNIEWSKĄ ukończyło 19 dziewcząt - strzelczyń, córek członkiń Koła Gospodyń Wiejskich.

- Zakończenie wykładów na Uniwersytecie Niedzielnym.

Prelegenci przyjeżdżali ze Skalału mając 100 osób jako słuchaczy. Kierownikiem Uniwersytetu Niedzielnego był p. Feliks SZADY. Na zakończenie Uniwersytetu Niedzielnego przybyli z TSL pp. Łukasz BADARYCZ, Piotr CZUPIŁOWSKI i Józef HAWLICKI.

WSCHÓD - nr 80, (30.04.1938)

natomiast w Nowosiółce Skalałackiej:

Koło amatorskie TSL wspólnie z Kołem Gospodyń Wiejskich odegrało w sali miejscowego nieukończonego Domu Ludowego 4-ro aktową sztukę pt. "Macocho".

Dzięki zapałowi i dobrym chęciom amatorów i reżysera - miejscowego gospodarza p. Andrzeja SERAFINA oraz współpracy kierownika szkoły p. Zygmunta KAPUŚCIŃSKIEGO - sztuka wypadła nader efektownie.

Dochód przeznaczono na dokończenie budowy miejscowego Domu Ludowego. Liczna frekwencja świadczy o dużym wyrobieniu społecznym Polaków z Nowosiółki Skalałackiej i zrozumieniu potrzeby posiadania własnego Domu Ludowego.

WSCHÓD - nr 82, (30.04.1938)

²⁴ Towarzystwo Szkoły Ludowej (TSL), organizacja oświatowa założona w 1891 w Galicji; zakładała i utrzymywała szkoły, bursy, ochronki, domy ludowe, biblioteki itp., wydawała i rozpowszechniała literaturę; działała do 1939 r. (wg Encyklopedii Popularnej PWN wyd. VII z 1982 r.)

o świętach Wielkanocnych relacjonuje w kwietniu nieznany korespondent:

Uroczystość wielkanocna w Skałacie. Uroczysta rezurekcja w kościele parafialnym w Skałacie zakończyła się procesją z udziałem ks. dziekana J. FERENSA na czele duchowieństwa oraz przedstawicieli władz i urzędów z wicestarostą dr J. KOZIEBRODZKIM i ppłk Stanisławem PIETRZYKIEM.

Następnego dnia odbyło się w niezwykle miłym nastroju "święcone" żołnierskie w Domu Żołnierza.

WSCHÓD - nr 82, (30.04.1938)

W maju 1938 r. czytamy w korespondencji z Grzymałowa:

Grzymałów - kresowe miasteczko w powiecie skałackim - świętowało 3 Maja okazale zorganizowanym pochodem. Jest to zasługa miejscowego Oddziału Związku Strzeleckiego i komitetu święta pod przewodnictwem dyr. DUTKOWSKIEGO, długoletniego przewodniczącego TSL, a w pierwszym rzędzie społeczeństwa Grzymałowa i okolicy.

Pochód barwnych banderyj oraz umundurowanych i nieumundurowanych organizacji społecznych Grzymałowa i okolicy miał około kilometra długości. Wzięły udział w pochodzie (imitowane) armaty, kuchnia polowa i wóz sanitarny (z Poznanki Hetmańskiej).

Podniosłe wrażenie czynił udział w pochodzie na przybranym wózku p. NIEDBAŁY z Poznanki Hetmańskiej, uczestnika Powstania Styczniowego.

Z tegorocznym obchodem 3 Maja była połączona uroczystość poświęcenia Spółdzielczego Banku Ludowego. Skład Rady Nadzorczej i umiejętnie jej przewodnictwo przez Władysława hr. WOLAŃSKIEGO, znanego ze społecznych prac i ofiarności ziemianina oraz skład Dyrekcji dają rękojmię rozwoju tej nowej placówki.

WSCHÓD - nr 83, (10.05.1938)

Miesiąc maj był też okresem obchodów w Skałacie i Ziemi Skałackiej święta Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego (PW i WF). A tak je zrelacjonował wciąż nieznany korespondent, a może korespondentka "WSCHODU":

Gminne święta PW i WF

*W dniu 15 maja odbyło się Święto gminne PW i WF w **Kołodziejówce** pod hasłem "OBRONY NARODOWEJ". Przed kościołem w Kołodziejówce zebrały się oddziały Związku Strzeleckiego z bronią, strzelczyków, organizacje społeczne i banderie konne wreszcie kolarze i działwa szkolna oczekując przybycia delegatów.*

O godz. 10.00 przybył jako delegat starosty mgr M. GRETKIEWICZ oraz z ramienia dowództwa KOP kpt. BORAS w towarzystwie powiatowego komendanta ZS por. TURZAŃSKIEGO.

Po raporcie i przeglądzie zwartych szeregów w liczbie około 800 osób odbyła się uroczysta msza św. po czym nastąpił przemarsz oddziałów pod pomnik Marszałka PIŁSUDSKIEGO. Tutaj mgr GRETKIEWICZ wygłosił do zebranych okolicznościowe przemówienie, po którym odbyła się defilada.

Tegoż dnia odbyło się święto WF i PW w **Krasnem** przy udziale hufców ZS i innych organizacji z terenu gminy Krasne. Podobne święta urządzono w **Ostapiu** i w **Kaczanówce**.

WSCHÓD - nr 85, (30.05.1938)

w Starym Skalacie:

W Starym Skalacie odbyło się gminne święto PW i WF z udziałem mjr Mariana JACHIMOWSKIEGO, kpt. Stefana FIAŁKOWSKIEGO, Notariusza Alojzego SZETELI i kompanii honorowej z orkiestrą.

WSCHÓD - nr 86, (10.06.1938)

w tymże Starym Skalacie:

Na walnym Zebraniu Oddziału Związku Strzeleckiego w Starym Skalacie na wniosek referenta wychowania obywatelskiego p. St. MORMULA uchwalono zorganizować własną orkiestrę.

WSCHÓD - nr 86, (10.06.1938)

Nadeszła jesień 1938 r. Cały kraj w patriotycznym uniesieniu składa się na Fundusz Obrony Narodowej (FON). Płyną datki większe i mniejsze, często w sytuacjach wręcz wzruszających:

I znów w Starym Skalacie:

W związku z akcją dozbrojenia armii złożyli dalsze ofiary na ten cel: Joel HAUSNER z Połupanówki - 200 zł, Józef TENENBAUM z Nowosiółki Sk. - 100 zł i pracownicy Gminy - 16 zł.

WSCHÓD - nr 95, (10.09.1938)

Wrzesień to okres dożynek. Odbyły się one również w Skalacie, a ich przebieg tak opisano w korespondencji z 18.09.1938 r.:

Skaląt obchodził piękną uroczystość dożynek. Już od wczesnych godzin zdążyły do Skalatu liczne grupy uczestników z poszczególnych gromad.

Uwagę zwracały piękne stroje typowo podolskie szczególnie z Połupanówki oraz młodzież w strojach ludowych z Kaczanówki. Uczestnicy

zgromadzili się na podwórzu Wydziału Powiatowego, skąd na czele własnej orkiestry z Kołodziejówki udali się na nabożeństwo do kościoła, po czym odbył się akt poświęcenia wieńców. Piękne wieńce były z Hałuszczyniec, Kaczanówki, Połupanówki oraz członków Koła Hodowców.

Po poświęceniu uformował się przed kościołem wspaniały korowód, składający się z kilkuset ludzi na czele ze starostą dożynkowym w osobie p. Romana FUDAŁY, 70-letniego gospodarza z osady Wawelówka.

WSCHÓD - nr 96, (18.09.1938)

c. d. n.

Parafia Rzym.-Kat.
pod wezwaniem św. Anny
Skałat woj. Tarnopol

3. III. 2000 r.

Drodzy Rodacy!

W imieniu parafian i swoim osobiście, serdecznie dziękuję Rodakom zamieszkałym w Polsce na ziemi dolnośląskiej, lubuskiej, wielkopolskiej, śląskiej za przekazaną pomoc finansową na budowę kościoła w Skałacie.

Do chwili obecnej zrobiono bardzo dużo: zakończono prace ciesielskie i murarskie, dach, wieżę i wieżyczki pokryto blachą, dokonano ogrodzenia kościoła. Pozostały prace wykończeniowe jak: instalacja elektryczna, szklenie okien i tynkowanie wewnątrz - których koszt jest nie mały. Cieszę się razem z parafianami z każdej okazanej nam dotychczasowej pomocy. Jestem przekonany, że Rodacy nie zapomną o dalszej pomocy, która w Skałacie będzie mile widziana. Za wszystko zapewniam pamięć i modlitwę.

Serdecznie Bóg zapłać.

LISTA OFIARODAWCÓW

na działalność związaną z wydawaniem biuletynu:

1. Józef Franczyszyn	Warszawa	50.00 zł
2. Tadeusz Głowiszyn	Krotoszyn	30.00 zł
3. Maria Jastrzębska	Szczecin	20.00 zł
4. Stanisław Jastrzębski	Chorzów	20.00 zł
5. Józef Ruczyński	Warszawa	12.00 zł
6. Helena i Władysław Żmudowie	Zabrze	50.00 zł
7. Alina Wierzbicka-Kisiełewska	Zabrze	20.00 zł
8. Stanisława Myślicka-Hilton	Anglia	30.00 zł
9. Maria Moroz	Miejsce Piastowe	100.00 zł

Wszystkim Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

SPIS TREŚCI

Feliks KONARSKI	
Katyń	1
<u>Kazimierz SIMON</u>	
Z mojego pamiętnika - wspomnienia z lat 1940 - 1945. Cz. IV	2
Piotr BAJ	
Mogiły polskie z 1920 r. w Załóżcach Starych	6
Wiktor CHMIELUK	
Więcej o tragedii Skorodynec - wsi w pow. czortkowskim, woj. tarnopolskiego	8
INFORMACJA Z OSTATNIEJ CHWILI	14
Anastazja PASZKOWSKA	
Co zostało w mojej pamięci z Wołynia. Cz. I	15
Jan RANICZKOWSKI	
Urodziłem się w Kamieńcu Podolskim. (Wspom- nienia). Cz. XI.....	20

Antoni GOŁĘBIEWSKI	
Ziemia skałacka w przededniu II Wojny Światowej	
Cz. I.....	26
PODZIĘKOWANIE ks. prob. R. Stadnika ze Skałatu.....	33
LISTA OFIARODAWCÓW	34